

AUTOBIOGRAFIA NARRATORKI 5

CZEŚĆ I – BIOGRAFIA PRZEŻYTA

Szkoła podstawowa nie była moim ulubionym miejscem. Bałam się bardzo w pierwszej klasie. Nie umiałam się niej odnaleźć. Do podstawówki poszłam w 1986 roku, była to bardzo duża szkoła, pełna dzieci. Klas po 32 dzieci było do litery h, ja chodziłam do klasy f. Na początku pamiętam, że wszystkie przerwy musieliśmy chodzić za ręce w parach dookoła szerokiego korytarza. Tak wyglądała nasza przerwa. Dziś, ciężko mi jest sobie wyobrazić siedmiolatki, które nie dość, że przesiedziały 45 minut w ławkach do tego ich przerwa polega na jednolitym spacerze za rączkę wzdłuż korytarza. No ale wtedy się nad tym nie zastanawiałam. Klasy jeden-trzy były dla mnie koszmarem. Nie chodziłam do przedszkola, gdyż byłam w domu z tatą i to była nasza pierwsza rozłąka. Mamę i siostrę też miałam, ale mama pracowała, a siostra była dużo starsza ode mnie i w roku kiedy poszłam do szkoły ona rozpoczęła studia na wydziale prawa. Moim ulubionym przedmiotem od początku była plastyka, wszystko prócz niej mogło nie istnieć. Podobały mi się teatryki szkolne, ale że wiecznie chorowałam nie mogłam brać w nich udziału. Raz dostałam jakąś rolę, ale na przedstawienie zachorowałam i na tym się skończyło. Pamiętam, że śpiewaliśmy dużo pieśni patriotycznych i wojskowych, to było całkowicie bez sensu. Lata podstawówki, to też moje ciągle choroby. Całe tygodnie leżałam w łóżku, a koleżanki przynosiły mi zeszyty do przepisania. Nie lubiłam chorować. Z powodu, że dodatkowo miałam chorobę lokomocyjną, nie uczestniczyłam również w wycieczkach klasowych, trochę pewnie też dla tego, że bałam się rozłąki z rodzicami.

Fot. 1: Bal karnawałowy w szkole 1987 r.



Źródło: kolekcja prywatna Narratorki.

Mieszkaliśmy w dużym dziesięcio-pietrowym bloku. Plusem tego miejsca było to, że mieszkało tam wiele dzieci, z którymi mogłam się kolegować. Z mojej klasy, w naszym bloku mieszkało dziesięcioro dzieci: Kamil, Paweł, Marek, Michał, Jarek, Agnieszka, Ela, Ania, Ada i ja. Jarek mieszkał na tym samym piętrze co ja, ale zbytnio nie lubił się ze mną bawić, za to przyjaźnił się z Michałem. Mama zostawiała mnie czasem, gdy musiała wyjść u rodziców Michała, lubiliśmy się razem bawić, chociaż czasem się też trochę biliśmy. Z dziewczyn najbardziej zawsze lubiałam Agnieszkę, to ona najczęściej przynosiła mi zeszyty do przepisania, na nią zawsze mogłam liczyć, chociaż bywało też, że była o mnie bardzo zazdrosna, gdy bawiłam się z innymi dziewczynkami.

Fot. 2: Jedno z moich ulubionych zdjęć z dzieciństwa, zrobione przez mojego szwagra na naszym osiedlu.



Źródło: kolekcja prywatna Narratorki.

Starsze klasy miały zajęcia w innej części naszej szkoły. Traktowaliśmy to jako awans i już nigdy nie chodziliśmy w część przeznaczoną dla maluchów. Było tam zawsze głośno, a maluchy były takie dziecinne. Część dla starszych dzieci z klas 4-8 była większa, miała 2 piętra dużą salę gimnastyczną, olbrzymią stołówkę i łącznik na którym odbywały się małe apele. Mieliśmy też w końcu poważne przedmioty jak biologia, fizyka, czy chemia. Bardzo polubiłam biologię. Z biegiem lat okazało się, że jestem dyslektykiem, potrafiłam zmyślić każde zdanie podczas czytania na głos. Miałam też dysortografię, ale na szczęście pani od polskiego wymyśliła dla mnie indywidualny sposób zaliczania dyktand, które były dla mnie koszmarem. Zamiast pisać dyktando, miałam opisać zasady pisowni lub gramatyki. Byłam dobrym uczniem i prócz nieszczęsnych dyktand uwielbiałam dyskutować na polskim, biologii czy plastyce. Uwielbiałam też śpiewać, bardzo chciałam grać na jakimś instrumencie, w piątej klasie rodzice kupili mi gitarę klasyczną i zaczęłam chodzić na prywatne zajęcia muzyczne. Po zajęciach chodziłam też na zajęcia z plastyki i biologii.

W szóstej klasie urodziła się moja siostrzenica. Rodzice dużo czasu poświęcali siostrze i dziecku. Często mama wyjeżdżała do Wrocławia gdzie mieszkała siostra. Ja kończyłam szkołę, zaczynałam wakacje. Nasza pani od plastyki dorabiała sobie prowadząc kwiaciarnię niedaleko naszego domu. Byłam u niej codziennie. Do dziś zapach kwiaciarni kojarzy mi się właśnie z nią. Co nas łączyło. Dziś myślę, że było to troszeczkę dziwne. To była kobieta po przejściach. Parę lat wcześniej miała zwyczajną rodzinę. Później jej córka, która była w moim wieku umarła na raka, ona wpadła w depresję, jej mąż odszedł, a syn poszedł na studia prawnicze do Wrocławia. Wyglądało na to, że jest zupełnie sama. Spędzałyśmy razem całe dni na tych wakacjach. Po jej pracy chodziłyśmy na zakupy, z których odprowadzałam ją na przystanek do jej domu. Czy miała wpływ na moje późniejsze plany? Może miała wpływ na moje późniejsze rozterki. W siódmej klasie wiedziałam już, że nie napiszę wypracowania z języka polskiego na poziomie wystarczającym na dostanie się do jakiegokolwiek liceum, nie miałam też orzeczenia o dysleksji. Na kółku biologicznym usłyszałam o olimpiadzie przedmiotowej i postanowiłam się do niej przegotować. Całe dni rozwiązywałam testy, uczyłam się. Nie było to dla mnie trudne, to co mieliśmy w podstawówce z biologii było raczej bardzo ciekawe i proste dla mnie. Przeszłam wszystkie etapy olimpiady i mogłam wybierać szkołę, do której chciałam pójść. W tym czasie szkoła zyskała patrona Jana Pawła II i najlepsi uczniowie pojechali na sponsorowaną wycieczkę do Rzymu. Jednak pomimo, że w szkole było tylko czworo „olimpijczyków”, ja nie pojechałam; pamiętam, że było mi przykro. Trudno mi było też wybrać szkołę do której chciałam pójść. Wybór padł na najlepsze liceum w mieście. Zastanawiałam się jeszcze nad liceum plastycznym we Wrocławiu, ale wtedy uznałam, że nie mam talentu.

Liceum, do którego poszłam, było pełne dzieci takich jak ja. Wszyscy tu byli trochę inni w swoich podstawówkach, część z nas żyła w swoim świecie. Co jeszcze charakterystyczne, większość z nas się bała, dużo osób bolał brzuch, trzęsły się lub pociły okropnie ręce. Poszłam do klasy o profilu biologiczno-chemicznym. Nasza wychowawczyni szykowała nas od pierwszej lekcji na egzaminy na medycynę. Ja chociaż lubiłam biologię, wolałam raczej botanikę niż krwawą dla mnie zoologię i medycynę – to nie była dla mnie dobra motywacja. Od pierwszej klasy wstąpiłam do drużyny harcerskiej. Drużyna była bardzo mała, ale za to wszyscy tworzyliśmy zgraną paczkę. Razem wyjeżdżaliśmy w góry, graliśmy na gitarach, śpiewaliśmy i śmialiśmy się do upadłego. Do drużyny chodziła Ewa – która została moją najlepszą koleżanką w czasie liceum. Ewa chodziła również ze mną do klasy. Pamiętam, że Ewa była jedną z osób, która najbardziej się bała zajęć, ale pomimo tego była jedną z lepszych uczennic, ślicznie też malowała i grała na gitarze. Chociaż uczyłam się dużo

nie mogłam zapamiętać wszystkiego co było na lekcjach i czego mieliśmy się nauczyć. Biologia stała się dla mnie koszmarem, przerabialiśmy książki z pierwszego roku wydziału biologii, to była czysta pamięciówka. Chociaż spędzałam nad książką cały wieczór i stosowałam różne techniki zapamiętywania, przy odpowiedzi zapominałam doszczętnie wszystko. To był koszmar. Mój ulubiony przedmiot stał się dla mnie teraz koszmarem. W liceum rozpoczęłam też naukę angielskiego, wcześniej uczyłam się wyłącznie niemieckiego, nie umiałam uczyć się tak szybko jak inne osoby z klasy, było mi trudno nauczyć się nowego języka. Wytchnieniem były lekcje polskiego, które dawały swobodne pole do dyskusji, wyrażenia swojego zdania, pochwalenia się tym co się przeczytało lub jak się interpretuje dany temat. Na tych zajęciach nasz nauczyciel pozwalał nam myśleć. W pierwszej klasie zgłosiłam się do poradni pedagogiczno-wychowawczej i dostałam zaświadczenie o dysortografii. Przez wszystkie te lata chodziłam też na zajęcia w poradni dla młodzieży z dysortografią, był to warunek dostania zaświadczenia przy pisaniu matury. Po dwóch latach zmagania się z biologią znienawidziłam ten przedmiot zupełnie i rodzice zgodzili się przepisać mnie do klasy o profilu ogólnym. Tutaj program biologii był okrojony i w sumie oznaczał dla mnie, że będę się jej uczyć jeszcze tylko rok.

W klasie ogólnej młodzież już nie była tak ambitna jak w biol-chem, ale tu mogłam odetchnąć. Wraz ze mną do klasy przepisała się Magda, ona też nie mogła znieść atmosfery w biol-chem. Przez całe dwa lata trzymałyśmy się razem, chociaż bardzo się od siebie różniłyśmy łączyła nas decyzja o zmianie klasy. W czwartej klasie znów stałam na rozdrożu - co dalej. Nie czułam się zbyt pewna siebie. Chciałam po prostu dostać się na studia, nie dać nikomu powodu do śmiania się ze mnie, że nie dostałam się na studia, że jestem w domu. Nie zastanawiałam się raczej nad kierunkiem tylko nad szansami jakie mam, by się tam dostać. Wydział polonistyki odpadał ze względu na dysortografię, postanowiłam startować na Akademię Ekonomiczną. Ferie przed maturą spędziłam na kursie organizowanym przez Akademię, nauczyłam się rozwiązywać testy egzaminów wstępnych, poznałam też tam Adę, z którą później przyjaźniłam się przez całe studia. Co lubiłam w Adzie? To że była pogodna i bardzo ambitna, nie poddawała się łatwo. Chociaż za pierwszym razem nie dostała się na Akademię, nie zmarnowała roku, uczyła się w studium językowym i za rok spróbowała ponownie i udało jej się. Po feriach była próbna matura, która poszła mi fatalnie. Oblałam egzamin z matematyki, również język angielski nie poszedł mi zbyt dobrze. Na prawdziwej maturze już nie było tak bardzo źle, ale nie jestem dumna z wyników jakie uzyskałam.

Fot. 3: Mój portret, który narysowałam na pierwszym roku studiów.



Źródło: kolekcja prywatna Narratorki.

Bez trudu dostałam się na studia na wydziale inżynieryjnym na Akademii Ekonomicznej. Wszyscy byli zadowoleni, a najbardziej ja, gdyż zaczynałam nową przygodę w swoim życiu. Chociaż moja siostra od 14 lat mieszkała we Wrocławiu i miała duży dom, ja zamieszkałam na stacji z koleżankami z liceum. Mieszkałyśmy we trzy w dwupokojowym mieszkaniu w starym budownictwie. Jedna z koleżanek studiowała prawo, druga zaś chemię. To był wspaniały, ale trudny rok. Trudny ponieważ ciężko mi było znaleźć nie raz wspólny język z dziewczynami i również dla tego, że co prawda na mój wydział łatwo było się dostać, to jednak trzeba było się dużo uczyć. Wspaniały, gdyż zaczęło się dla mnie nowe życie, całkiem samodzielne. Mieszkanie we Wrocławiu rozpoczęłam od zwiedzenia wszystkich muzeum i galerii sztuki, później zaś zaczęłam pisać w gazetce uczelnianej. Dziennikarstwo tak mnie zafascynowało, że już następne wakacje spędziłam na praktykach w tygodniku w moim mieście. Pisanie do gazety okazało się trudniejsze niż myślałam, ale za to fascynujące. Lubiłam rozmawiać z ludźmi, lubiłam zmienność tego co robiłam i to, że cały czas dowiaduję się czegoś nowego. Studia mogłyby nie istnieć, gdy była praca w gazecie, gdy były praktyki i staże dziennikarskie. Nauczyciele przymykali oczy na nasze nieobecności lub brak przygotowania wiedząc, że mamy dużo pracy w gazecie. Zaczytywałam się w reportażach Kapuścińskiego i marzyłam o podróżach. Gazetę studencką tworzyła garstka studentów, którzy tworzyli paczkę tak samo zgraną jak ta w liceum, harcerska. Po zajęciach zawsze spotykaliśmy się razem, razem pracowaliśmy nad nowym wydaniem naszego miesięcznika, czasami do późnego wieczora. Pomimo pasji nadal nie wiedziałam, co chcę robić w życiu, zastanawiałam się nad zmianą studiów, gdyż nie lubiłam ekonomii. Myślałam o polonistyce, historii sztuki lub nauczaniu plastyki, czasem zaś o psychologii. Nie zdawałam jednak na żaden z tych kierunków. Na ostatnim roku studiów poznałam Pawła i zakochałam się w nim. Mieszkałam wtedy na stacji, na której mieszkała wcześniej moja siostra, miałam pokój u starszej pani, pani Kasi. Pani Kasia nie lubiła Pawła, ani tego, że przesiaduje u mnie. Pewnego dnia wypomniała mi to, a ja następnego dnia załatwiłam sobie pokój w akademiku. Mieszkanie w akademiku na nowo nauczyło mnie współpracy z ludźmi. Na początku było bardzo ciężko zaskarbić sobie przyjaźń dziewczyn z pokoju, które mieszkały ze sobą już jakiś czas, ale później było nam ciężko się rozstać.

Po studiach ciężko mi było znaleźć pracę. Wysyłałam swoje CV od września, pracę dostałam w lutym. Był to dla mnie bardzo ciężki czas. To był moment dużego bezrobocia wśród absolwentów, dopiero w maju Polska wstąpiła do Unii Europejskiej i sytuacja się poprawiła. Chodziłam na rozmowy o pracę prawie codziennie i codziennie słyszałam, że nie

nadaję się na to stanowisko. Mieszkalam wtedy z Moniką w małym pokoju wynajmowanym od samotnej kobiety, która chyba była pielęgniarką. Monika była koleżanką mojej koleżanki z liceum. Z jednej strony lubiłam Monikę, a z drugiej zaś drażniło mnie jej podejście do świata, to że jest bierna, że nie chce szukać lepszej pracy, że je niezdrowe jedzenie, chociaż jest chora. Pod koniec roku miałam już dość tych rozmów. Mama spytała się koleżanki, czy w jej firmie nie potrzebują kogoś po ekonomii, okazało się, że potrzebna jest asystentka na zastępstwo. Poszłam na rozmowę i dyrektor rozmawiał, ze mną tak, jakby nie chciał mnie już więcej widzieć, następnego dnia dostałam potwierdzenie przyjęcia do pracy. Strasznie wstydziłam się wtedy tego polecenia przez koleżankę mamy, uważałam to za ogromne poniżenie. Teraz, wiem że to normalna procedura nawet w dużych korporacjach, a jeżeli pracownik poleci kogoś, kogo się przyjmie do pracy dostaje nagrodę pieniężną, bo przecież to nie jest ktoś z ulicy... no wiadomo. Pracowałam jako asystent dyrektora finansowego. W sumie sama nie wiem co należało do moich obowiązków. Sporządzanie raportów zbiorczych z podległych instytucji, robienie analiz liczbowych, pisanie protokołów zebrań u dyrektora, tworzenie planów finansowych. W maju dostałam przedłużenie umowy na zastępstwo. W październiku z uzbieranych pieniędzy rozpoczęłam studia podyplomowe na Akademii Ekonomicznej w kierunku rachunkowości oraz studia na uniwersytecie, wieczorową bohemistykę. Dlaczego język czeski? Czułam, że to co robię, nie wystarcza mi, że chcę czegoś więcej, nie wiedziałam jeszcze czego, szukałam swojej dogi. Z drugiej zaś strony lubiłam czeskie kino i literaturę i chciałam się o tym wszystkim dowiedzieć więcej, porozmawiać z ludźmi o podobnych zainteresowaniach. Od października pracowałam i studiowałam na dwóch kierunkach. Było mi ciężko, w pracy coraz częściej musiałam zostawać po godzinach, chociaż moja umowa była zawarta na $\frac{3}{4}$ etatu, ja pracowałam 8 godzin dziennie, a czasem po 10 lub 12 godzin. Po pracy biegłam prosto na uniwersytet, a po zajęciach próbowałam bezskutecznie wykuwać słówka, deklinacje i inne szczegóły czeskiej gramatyki opisowej. Czułam się zmęczona, ale szczęśliwa, pomimo braku powodzenia na studiach. Chociaż ledwo zaliczałam kolokwia, żyłam każdą chwilą spędzoną z moją grupą. Sesję zdałam, chociaż wtedy zwolniono mnie z pracy. Pan dyrektor został zastąpiony przez panią dyrektor, która na temat przedłużenia mojej umowy mówiła tylko „wszystko wyjaśni się w nowym roku”, no i wyjaśniło się. Moja umowa nie została przedłużona, dostałam jeszcze w zamian pismo o tym jakim jestem złym pracownikiem. Nie byłam złym pracownikiem. To był *mobbing*, tak okrutny, że mogłam tylko płakać. Nie było sensu mieszkać we Wrocławiu, nie chciałam mówić wszystkim dookoła, że straciłam pracę, postanowiłam zamieszkać z rodzicami i dojeżdżać 4 razy w tygodniu na zajęcia. Byłam

jednak w tak fatalnym stanie, że studia były dla mnie tylko kłopotem. Nie zaliczyłam letniej sesji, ledwo pamiętam ten czas, tyle płakałam.

Od września szukałam pracy w swoim rodzinnym mieście. Dostałam ją bez problemu. Od listopada pracowałam już w firmie zajmującej się doradztwem podatkowym. Sama dostałam tą pracę, byłam z siebie dumna. To co robiłam, podobało mi się, lubiłam też mego szefa i koleżanki z pracy. Mogłyśmy godzinami rozmawiać o przepisach prawa w czasie pracy, po pracy zaś miałam z kim jechać na wycieczkę do Drezna czy do Pragi, rozmawiałyśmy o teatrze, sztuce no i o naszym życiu też. Po pracy chodziłam na zajęcia z angielskiego – po raz pierwszy angielski stał się dla mnie przyjemnością. Czułam, że potrafię się czegoś nauczyć na zajęciach. To był bardzo dobry czas dla mnie, mogłam od nowa uwierzyć w siebie, w to kim jestem. W lutym zaręczyłam się z Pawłem, postanowiliśmy wziąć ślub w październiku. Kiedy jednak wszystko znów zaczęło się układać, a ja w moim rodzinnym mieście czułam się mieszkańcem, a nie tylko przejezdnym musiałam się znów przeprowadzić do Wrocławia.

W październiku wzięłam ślub, od listopada zamieszkałam we Wrocławiu i skończyłam pracę w moim ulubionym biurze, moi rodzice również przeprowadzili się do Wrocławia. To był czas prawdziwego pożegnania z moim miastem. Po ślubie, poleciliśmy do Londynu. To był mój pierwszy lot samolotem. Byłam podekscytowana. W Anglii spaliśmy na podłodze mieszkania kolegi, który tam pracował. Całe dni spędziłam w galerii sztuki współczesnej, którą pokazał mi Paweł. To była wyjątkowa podróż poślubna. We Wrocławiu powitały mnie kartony moich gratów i długie godziny w samotności. Mąż był w pracy, a ja już nie wiedziałam czego tak naprawdę chcę. Nie chciałam szukać pierwszej lepszej pracy, dużo płakałam i nie wiedziałam co robić. Postanowiłam wrócić do dziennikarstwa.

Od stycznia pracowałam dla studenckiego radia. Znów poznałam tam parę wspaniałych ludzi i parę prawdziwie okropnych. Spodobało mi się tam, bo to co robiłam, podobało się, a robiłam reportaże radiowe. Rozmowy z ludźmi, to było zawsze to, co lubiłam w dziennikarstwie. Bywały jednak chwile, gdy nie dawałam rady i bardzo się denerwowałam kiedy prowadziłam program na żywo, to było słyszeć w moim głosie – chłopak, który był naczelnym radia nie chciał mnie słyszeć w radiu, a ja nie wiedziałam jak się do tego odnieść. Bałam się, że nie dam rady. W sierpniu Paweł zmienił pracę, tego samego dnia moja koleżanka przyprowadziła mi psa, który błąkał się po jej osiedlu. Szukałyśmy długo jego właścicieli, lecz nikt się do niego nie przyznawał – pies został u mnie. Od września postanowiłam rozpocząć pracę. Jenak ośmiogodzinna praca w korporacji, nudna jak flaki z olejem i obowiązki związane z opiekowaniem się psem, nie pozwalały mi być tak

elastyczną jak do tej pory. Coraz mniej czasu miałam na radio. Wszystko naturalnie się rozwiązało, gdy w lutym mąż dostał możliwość wyjazdu na 3 miesiące do Azji. Postanowiłam pojechać z nim, bo po pierwsze lubię podróżować, a po drugie mogłam gładko zakończyć mój nieudany miraż z korporacją oraz zepsute relacje z radiem.

Ta podróż była mi potrzebna, zetknięcie z inną kulturą, inny styl życia ... chyba wtedy dorosłam do tego, że mogę mieć dziecko. Chodziłam na zajęcia językowe, bez problemu też porozumiewałam się z innymi ludźmi po angielsku. Lubiłam moje życie tam i nowe, inspirujące środowisko. Pisałam bloga o moich przygodach w Azji. Przygotowywałam się też jeszcze do konkursu „Grasz o staż”, gdzie nagrodą był staż w radiowej trójce, jednak nie dokończyłam swojej pracy. To była moja ostatnia szansa na udział w tym konkursie, gdyż właśnie kończyłam 30 lat, postanowiłam odpuścić sobie i nie zajmować się jak na razie dziennikarstwem. Po powrocie do Polski pojechaliśmy jeszcze na chwilkę do znajomych na Wyspy. Zobaczyłam Belfast, który zrobił na mnie niesamowite wrażenie oraz Dublin. W Dublinie poszliśmy na koncert, spędziliśmy też dzień nad morzem. Obydwa miasta zwiedziliśmy za małe pieniądze, znów śpiąc na podłodze jednak to co przeżyliśmy było niesamowite. Odkryłam, że w podróżowaniu ważniejsza jest przyjaźń niż wygodne łóżko. Może dla tego tak mi się to podobało, bo byłam harcerką?

Gdy wróciliśmy, nie musiałam długo szukać pracy. Dostałam posadę w podatkach, znów na zastępstwo. Pracowałam tam jak w młynie i dawałam z siebie wszystko... Razem ze mną do pracy przyszły jeszcze dwie dziewczyny. Świetnie się dogadywałyśmy i tworzyłyśmy zgraną paczkę. Akurat gdy moje zastępstwo się kończyło przyszedł kryzys i firma przestała zatrudniać nowych pracowników – miałam zwyczajnego pecha. Gdy skończyła mi się umowa postanowiliśmy pojechać do Stanów Zjednoczonych i do znajomych, którzy mieszkali w Meksyku. Jestem osobą bardzo oszczędną, dlatego udało mi się odłożyć pieniądze na podróż. Cała wyprawa była przygotowana tak, by ponieść jak najmniejsze koszty. Podróż do Nowego Jorku trwała tak długo, że już w ostatnim autobusie do New Jersey prawie nie zemdlałam ze zmęczenia. W tym autobusie też poznaliśmy bardzo sympatyczną parę z Anglii. Spędziliśmy parę dni w Nowym Jorku śpiąc w New Jersey, jeden dzień spędziłam na zwiedzaniu MOMA, muzeum sztuki współczesnej.

Fot. 4: MOMA 2009.



Źródło: kolekcja prywatna Narratorki.

Niestety, nie miałam już czasu na zwiedzanie Muzeum Guggenheima, mieliśmy lot do Meksyku. Nasz pobyt w Meksyku był jedną z moich największych przygód. Przyjaciel Pawła wraz z żoną mieszkali tam od paru lat, świetnie mówili po hiszpańsku i znali realia życia w tym kraju. Po wylądowaniu w Meksyku wsiedliśmy w ich samochód i wspólnie objechaliśmy część wybrzeża. Przekroczyliśmy też w jednym miejscu granicę i spędziliśmy dzień w Belize. Właśnie pobyt w Belize uważam za najbardziej magiczny w całej tej podróży. Do Polski wróciliśmy po trzech tygodniach, zmęczeni ale szczęśliwi, pełni naszych przygód i opalenia.

Fot. 5: Meksyk 2009.



Następna praca może nie była taka pasjonująca, na tyle odpowiedzialna, ale za to umowa była na czas określony – na rok, nie było to zastępstwo. Była to praca również w finansach, tym razem w dziale kontroli finansowej. Ludzie w moim dziale często się zmieniali, udało mi się zaprzyjaźnić z jedną z dziewczyn. Była troszkę ode mnie starsza, ale miała trójkę dzieci, najstarsze miało 8 lat, najmłodsze 3 lata. W drodze do pracy i z pracy opowiadała mi o nich i miłość, z którą mówiła wzruszała mnie. W maju rozpoczęłam pracę, w sierpniu zaszłam w ciążę. Miałam 30 lat, postanowiłam nie czekać czy przedłużą mi umowę. W styczniu, z powodu nerwowej atmosfery w pracy i dużego stresu związanego ze specyfiką pracy w kontroli finansowej, postanowiłam wykorzystać możliwość, jaką mi dał ginekolog i poszłam na zwolnienie lekarskie. Co robiłam przez ten czas w domu – dużo czytałam, rysowałam, spałam też, gdyż czułam się wiecznie zmęczona. Chciałam urodzić w domu, przygotowywałam się więc też do porodu.

W maju 2010 roku urodził się mój syn – Robert. Robercik nie był i nie jest dzieckiem spokojnym. Ja po porodzie nie czułam się zbyt dobrze, a mój poród domowy zamienił się w cesarskie cięcie. Dużo mi wtedy pomógł Paweł, który mógł wziąć urlop w pracy na trzy miesiące. Ja przez trzy lata codziennie zajmuję się Robertem, Paweł pracuje długo od ósmej do dziewiętnastej, więc jesteśmy praktycznie sami. Rodzice nie pomagają mi zbyt dużo,

choć mieszkają w tym samym mieście – są starzy i schorowani. Bardzo się cieszę, że miałam możliwość pozostania z Robertem w domu i obserwowania, jak się rozwija. Dużo się nauczyłam dzięki niemu o sobie i o świecie. Był to wspaniały czas, gdy mogłam się wyciszyć i zobaczyć wszystko z całkiem innej perspektywy. W czasie gdy byłam w domu znowu zaczęłam uczyć się angielskiego. Od czasów liceum w końcu uwierzyłam, że jestem w stanie nauczyć się tego języka. Teraz przystępuję do egzaminu na poziomie B2, a moje wyniki nie odbiegają od wyników innych uczestników kursu, w niektórych kwestiach jestem wręcz lepsza. Jesienią tego roku miałam niepokojące problemy ze wzrokiem. Stwierdziłam, że mogę już nie móc rysować, fotografować, a przecież była to moja pasja, którą zaniechałam. Kupiłam rysownicę, znów szkicuję. Od lutego chodzę na zajęcia z fotografii cyfrowej, od lutego też prowadzę bloga fotograficznego. Teraz fotografia stała się moją formą wyrazu. Co w niej lubię? To, że jest formą jednocześnie dziennikarską, jak również artystyczną. Gdy fotografuję, cały świat mógłby nie istnieć, czuję się szczęśliwa. Od trzech lat nie podróżujemy tak daleko i tak „dziko” jak kiedyś, spędzamy wakacje już trochę inaczej. Latem jeździmy na wieś do rodziny, ale mamy już plany na wakacje, gdy Robert będzie starszy. Macierzyństwo traktuję jako formę przygody, cieszę się z obecności nowej osoby w mej najbliższej przestrzeni, chociaż często czuję się również słaba, ponieważ nie umiem zrozumieć intencji lub myśli mojego trzy letniego syna.

Fot. 6: Ja i Robert, 2011 r.



Źródło: kolekcja prywatna Narratorki.

Co będzie teraz? Od września zaczyna się przedszkole. Dla mnie kończy się okres ochronny, muszę znaleźć sobie pracę. Co teraz? Najchętniej bym znalazła pracę jako fotograf, chociaż tutaj jeszcze mało umiem. Przeraża mnie praca na cały etat, a później zajmowanie się synkiem i jeszcze nauka chociażby angielskiego. Wiem, że w ten sposób żyje mnóstwo osób i nie ma w tym nic niezwykłego, chociaż będzie to dla mnie wyzwanie. Chciałabym znaleźć pracę, dalej fotografować i rozpocząć studia na wydziale ASP od października przyszłego roku, oczywiście zaoczne. Brakuje mi warsztatu, ludzi o podobnych pasjach jak moja... lub może, innymi słowy, coś ze mną nie tak, jestem wiecznym dzieckiem, które nie umie dorosnąć ... sama nie wiem ...

CZEŚĆ II – BIOGRAFIA NIEPRZEŻYTA

Jaką historię chciałabym przeżyć? Lepszym pytaniem jest, jakie historie chciałabym przeżyć? Kim chciałam zostać, co robić, gdybym była młodsza? Co chciałam robić kiedy byłam młodsza?

Powinnam rozważyć kilka scenariuszy.

Wersja pierwsza. Po podstawówce idę do liceum plastycznego. Przeprowadzam się do Wrocławia i mieszkam z siostrą lub w internacie. Jeżeli bym dała sobie radę, co byłoby dalej. Moja koleżanka z klasy wybrała właśnie tę drogę, po liceum poszła na architekturę w Poznaniu. Czy w takiej rzeczywistości byłabym szczęśliwsza?

Wersja druga. Po podstawówce w liceum trafiam na lepszego nauczyciela biologii, który inspiruje mnie do zdobywania dalszej wiedzy z biologii. Ta wersja wydarzeń, chyba najbardziej mi się podoba. Co dalej? Porządne studia biologiczne, może później praca naukowa. Czyli życie całkiem inne niż dzisiaj.

Wersja trzecia. Po liceum wybieram studia plastyczne, może w tym celu wyjeżdżam do Niemiec na przykład, gdzie o wiele łatwiej o pracę po szkole artystycznej. Ta wersja jest najmniej realna, ale za to chyba najbardziej szalona.

Cokolwiek bym napisała nie żałuję tego, że poszłam tą, a nie inną drogą. Życie, to które przeżyłam nauczyło mnie pogodnego spojrzenia i przyjmowania świata takim jakie jest. Dużo w tej mierze zawdzięczam swojemu mężowi, który jest moim najlepszym przyjacielem i z którym mogę przepracować, przegadać każdy swój problem i znak zapytania. Sądzę, że gdybym nie przeżyła swojego życia, nie byłabym sobą, może też nie byłabym matką.